

Piotr Buras

O publicznym użytkowaniu historii i polsko-niemieckich sporach

Jeśli spojrzeć na dzisiejsze relacje między elitami Polski i Niemiec, to widać, że w sprawach przeszłości mówią one w dużej mierze obok siebie. Jak wyjaśnić ten stan rzeczy? Sądzę, że głównym powodem jest to, że kultury pamięci Polski i Niemiec rozeszły się na przestrzeni ostatnich kilkunastu lat i dzisiaj zupełnie do siebie nie pasują. Często zjawisko to tłumaczone jest poprzez odniesienie do sprzecznych jakoby narodowych narracji o przeszłości. Nie sądzę jednak, by takie podejście w istocie wyjaśniało prawdziwe przyczyny dzisiejszego zamieszania w niemiecko-polskim dialogu o historii. Uważam, że problem leży gdzie indziej. To nie interpretacja faktów jako takich i obraz przeszłości w obu krajach jest rzeczywistym problemem. Różnice w interpretacji tak kontrowersyjnych problemów, jak traktat wersalski czy wypędzenie Niemców, odmienne znaczenie przypisywane tym samym wydarzeniom historycznym czy też inny emocjonalny stosunek do nich, to całkowicie normalne zjawiska wyróżniające narodowe wizje dziejów i pokazujące ich specyfikę względem innych narracji. Ich koegzystencja jest nie tylko możliwa, ale i nieunikniona, i wcale nie musi prowadzić do ostrych konfliktów. Jeśli dzisiaj natomiast doświadczamy na każdym niemal kroku polsko-niemieckich zatargów mających w tle historię, to ich źródłem jest co innego: to mianowicie, JAK przeszłość (i to nie tylko polsko-niemiecka, lecz przeszłość w ogóle) pamiętana jest i "użytkowana" w przestrzeni publicznej w obu krajach. To właśnie zmieniający się sposób "użytkowania historii" zaostriżył problemy w relacjach polskich i niemieckich elit i stał się źródłem nieporozumień we wzajemnym postrzeganiu.

Wystąpienie moje składać się będzie

z dwóch części. W pierwszej chciałbym krótko przedstawić najważniejsze, moim zdaniem, aspekty zmieniającej się kultury i polityki pamięci w Niemczech, którymi są:

- odpolitycznienie pamięci o Trzeciej Rzeszy,
- prywatyzacja pamięci
- pluralizacja dyskursu o przeszłości.

Moją tezą jest: taki kierunek zmian w niemieckiej pamięci jest zasadniczo sprzeczny z kierunkiem, w którym zmierza dyskurs

o przeszłości w Polsce. Tym problemem i jego przyczynami zajmę się drugiej części wystąpienia.

I.

Zacznijmy więc od pytania, które od dobrych kilku lat nurtuje polską opinię publiczną, stanowi przedmiot komentarzy polityków i stanowi jest z ważniejszych punktów odniesienia w debacie nad polską polityką historyczną. Pytanie to brzmi: Co się dzieje z niemiecką pamięcią zbiorową? Czy dochodzi do gwałtownej renacjonalizacji i weryfikacji ocen historycznych, o czym mówił polski premier Jarosław Kaczyński w jednym z wywiadów? Czy też nie dzieje się nic istotnego, jak wnioskować można z niektórych uspokajających wypowiedzi niemieckich polityków i intelektualistów? Najkrócej rzecz ujmując powiedziałbym, że dzieje się bardzo wiele, ale dokonujące się zmiany niewiele mają wspólnego z tym, o czym mówią często polscy prawnicy politycy i publicyści.

Moje wyjaśnienie odwołuje się do trzech wspomnianych wcześniej, a brzmiących pewnie dość enigmatycznie, pojęć. Pozwolą Państwo, że zacznę od wyjaśnienia terminu

"odpolitycznienie pamięci", który wydaje mi się szczególnie istotny dla zrozumienia tego, co w sferze publicznego użytkowania przeszłości dzieje się dzisiaj w Niemczech.

Jednym z najbardziej wyrazistych rysów kultury politycznej republiki bońskiej było

wyjątkowe upolitycznienie problemu pamięci, przeszłości i odpowiedzialności historycznej.

Słowa Günтера Grassa, że podział Niemiec jest "karą za Auschwitz" były jego skrajnym, ale i typowym wyrazem. Dla lewicy z pokolenia 68 przeszłość była kluczową płaszczyzną politycznej konfrontacji z pokoleniem rodziców. Także "spór historyków" z połowy lat 80-ych nie był zwykłą debatą akademicką, lecz przede wszystkim starciem dwóch odmiennych wizji "używania" przeszłości w życiu publicznym oraz jej znaczenia dla tożsamości Niemców. Zwycięstwo lewicy w tym sporze skutkowało przekonaniem o pamięci o Auschwitz jako niemieckiej racji stanu i trwałą dyskredytacją tendencji niemiecko-narodowych. Fraza o "lekcji wyciągniętej z przeszłości" to być może najczęściej używane słowa w języku politycznym republiki bońskiej. Odniesienie do przeszłości w dyskursie publicznym nie było tylko wynikiem moralnego "zobowiązania do pamięci", służyło także jako polityczna wskazówka do działania - zarówno w polityce wewnętrznej, jak i zagranicznej. Odniesieniem do niechlubnej przeszłości i odpowiedzialnością za Auschwitz tłumaczono i uzasadniano federalną konstrukcję państwa niemieckiego, politykę pojednania z sąsiadami, niechęć do użycia siły w stosunkach międzynarodowych, integrację europejską itd. Dwadzieścia lat po słynnym "sporze historyków" ta interwencyjna polityczna funkcja pamięci ulega zdecydowanemu osłabieniu. To mam właśnie na myśli mówiąc o "odpolitycznieniu". Jakie są tego przyczyny? Przede wszystkim, oczywiście, zmiany pokoleniowe. Odchodzenie generacji świadków oraz stopniowe wycofywanie się z życia publicznego - naznaczonej sporami o historię - generacji 68 spowodują, że taka zmiana w ogóle jest możliwa. Ale to nie wszystko. Nie mniej istotny jest drugi czynnik: odwoływanie się do przeszłości jako uzasadnienia działań w sferze polityki przestało być użyteczne. Inaczej niż w przeszłości lekcja Auschwitz rozwiązuje coraz mniej problemów.

Nie tylko pojęcie "podziału Niemiec jako kary za Auschwitz" odeszło do lamusa. Najlepiej zmiana ta była widoczna w przypadku udziału Niemiec w interwencji NATO w Kosowie w 1999 roku. Joschka Fischer próbował wprowadzić uzasadnić wówczas słusność tej interwencji słowami "Nigdy więcej Auschwitz", ale później sam zauważył, że było to niestosowne. Niemcy poszły na tę wojnę głównie dlatego, że takie były oczekiwania ich sojuszników. To solidarność z nimi była głównym motywem i to z zewnątrz przyszła na Niemcy presja do pozbycia się wynikających z historii ograniczeń. Dzisiaj przeszłość nie stanowi hamulca dla niemieckich operacji wojskowych za granicą, choć opory przed nimi nadal są w Niemczech silne.

Inny przykład to kwestia prawicowego ekstremizmu. Publicysta Jörg Lau zwracał uwagę na łamach miesięcznika "Merkur", że "w debacie na temat 'no-go-areas' w Niemczech wschodnich, w których obcy nie mogą być pewni swojego życia, argument historyczny stracił znaczenie na rzecz pytania o społeczeństwo, w jakim żyjemy dzisiaj i w jakim chcemy żyć w przyszłości (...) Dlatego walka z radykalną prawicą powinna być prowadzona nie za pomocą nadrabiającego zaległości antyfaszyzmu, lecz jako walka o społeczeństwo, w którym nie trzeba się bać, pozbawione sfer tolerowanego przez państwo bezprawia". Innymi słowy, "maczuga Auschwitz" (Walser) trafia w próżnię, bo sedno problemu nie tkwi w irracjonalnym zwrocie ku anachronicznej i zbrodniczej ideologii, lecz w współczesnych problemach rynku pracy i wykluczenia.

To samo dotyczy integracji europejskiej. Dzisiaj argument egzystencjalny ("kwestia wojny i pokoju"), jakiego używał Kohl nikogo już nie przekonuje. To wszystko pokazuje wyczerpanie się politycznej funkcji pamięci o Trzeciej Rzeszy w formie, w jakiej użytkowano ją jeszcze kilkanaście lat temu. Ta zmiana widoczna jest także w debatach intelektualnych i konflikcie pokoleń. Dzisiaj to nie przeszłość Trzeciej Rzeszy czy pamięci o niej jest płaszczyzną, na której pokolenie 40-latków toczy batalię o przywództwo duchowe

z pokoleniem 68, lecz dziedzictwo tego ostatniego pokolenia właśnie, które coraz silniej kontestowane jest przez młodszych intelektualistów. Ten proces trudno oceniać w kategoriach moralnych - czas, kiedy okres Trzeciej Rzeszy był centralnym motywem niemieckiego życia publicznego po prostu minął bezpowrotnie.

Nie uważam, by ta przemiana oznaczała relatywizację niemieckich win czy też rewizję obrazu historii. Auschwitz pozostaje fundamentalną i konstytutywną częścią niemieckiej pamięci zbiorowej. Nie przez przypadek najważniejszym projektem niemieckiej polityki historycznej jest Pomnik Pomordowanych Żydów Europy (Holokaust-Mahnmal) w centrum Berlina. Ale jego znaczenie nie jest już tak bezpośrednie i namacalne jak niegdyś. Nie mniej istotnym powodem, dla którego tak się dzieje, jest to, że obraz niemieckiej historii nie jest już, 60 lat po wojnie, zdominowany przez 12 lat narodowego socjalizmu. Jest on dużo bardziej pluralistyczny. Myśląc o historii Niemiec dostrzega się także inne elementy.

I nie mam tu w pierwszym rzędzie na myśli renesansu zainteresowania historią Prus, który tu i ówdzie w Polsce budzi negatywne skojarzenia, a nawet obawy. To także nie wizja Niemiec jako "narodu ofiar" (wypędzeń, nalotów bombowych etc.) jest tą, która w moim odczuciu, wybija się na pierwszy plan. "Nowa przeszłość" Niemiec, która daje dzisiaj Niemcom poczucie większego luzu w obcowaniu z historią to powojenne dziesięciolecie, czyli historia Republiki Federalnej. Od 68 roku minęło już 40 lat, tyle samo ile w 1986 roku - w czasie sporu historyków - minęło od końca Trzeciej Rzeszy. Okres powojenny to dla średniego i młodego pokolenia już historia, a jego uhistorycznienie powoduje, że współczesne Niemcy coraz mniej, jeśli w ogóle, potrzebują mitu założycielskiego Auschwitz. Ich źródłem pewności siebie, tożsamości i "sensu" są dokonania minionego półwiecza: cud gospodarczy, demokratyzacja, konstruktywna rola

w świecie i - last but not least - gruntowne rozliczenie z narodowym socjalizmem. Niemcy zaczynają w coraz większym stopniu definiować się w oparciu o tę "nową" przeszłość. Przykłady tej zmiany stosunku do przeszłości można by mnożyć, podobnie jak tytuły książek pisanych w takim właśnie duchu głównie przez dzisiejszych 50-latków. Zacytuję tylko Reinharda Mohra, autora książki pod charakterystycznym tytułem "Poczucie Niemiec" (Das Deutschlandgefühl): "Po około czterech dziesięcioleciach Republiki Federalnej zaczęło się coś w rodzaju samouhistorycznienia się republiki powojennej, proces, w którym tu i ówdzie pojawiała się domieszka dumy, coś na kształt tożsamości".

Chciałbym przywołać też słowa Horsta Köhlera, który w maju 2005 roku mówił: "Kiedy spoglądamy na drogę, którą przeszliśmy od 1945 roku, rozpoznajemy siłę, z której możemy korzystać. To daje nam odwagę na przyszłość(...) Niemcy są stabilną demokracją. Nasz kraj jest bardziej różnorodny i otwarty na świat niż kiedykolwiek wcześniej. Odnaleźliśmy się jako naród. Mamy powody, by być dumnym z naszego kraju. To co osiągnęliśmy, nie byłoby do pomyślenia bez lekcji, jakie wyciągnęliśmy z przeszłości i jest wynikiem nieustannych wysiłków". To jest ta zasadnicza treść tzw. normalizacji w stosunku do przeszłości, jaka dokonuje się w Niemczech. Ale H. Köhler mówił też o odchodzeniu ostatnich świadków wojny i podkreślił, że następne generacje "przejmują teraz na siebie zadanie, by zachować i przekazywać dalej pamięć o tym, co się wydarzyło". Wydaje mi się, że właśnie to przemówienie najlepiej oddaje charakter nowego niemieckiego konsensusu w sprawach pamięci.

Co ciekawe, w podobnym duchu H. Köhler mówił o problemie wypędzenia. W swoim przemówieniu z okazji Tag der Heimat w ubiegłym roku zwracał uwagę nie tyle (albo nie tylko) na pamięć o cierpieniach wypędzonych Niemców, ile na sukces ich integracji w społeczeństwie niemieckim. Podobny charakter miała zresztą wystawa "Flucht, Vertreibung, Integration" w bońskim Haus der Geschichte, która utrzymywała pamięć integracji kilkunastu milionów przesiedleńców jako jednego ze swoistych mitów założycielskich republiki federalnej. To także pokazuje zmianę w myśleniu o przeszłości, a jednocześnie stawia

w innym świetle procesy, które w Polsce często przedstawiane są jako "pisanie historii na nowo".

Niewątpliwie wspomniane "odpolitycznienie" pamięci o Trzeciej Rzeszy połuźnia gorset politycznej poprawności. Jakiś czas temu chadecki wiceminister kultury zaproszony do udziału w uroczystościach na terenie byłego obozu koncentracyjnego w Buchenwaldzie zamiast uczcić pamięć jego ofiar, rozwodził się na temat... wypędzonych (jego wystąpienie zostało jednak przerwane protestem oburzonych słuchaczy). Z kolei w książce jednego z czołowych konserwatywnych intelektualistów, sędziego Federalnego Trybunału Konstytucyjnego Udo di Fabio, można przeczytać, że "naziści byli przebranymi wrogami niemieckiej kultury", a zdeklasowani Niemcy, którzy poszli za Hitlerem chcieli w istocie żyć w "bezpiecznym, pokojowym i mieszczańskim świecie", ale zostali oszukani i uwiedzeni. Takie zjawiska i wypowiedzi to też nieodłączna część pluralizacji niemieckiego dyskursu o przeszłości. Należy do niego wreszcie Erika Steinbach reprezentująca w moim przekonaniu nurt niemiecko-narodowy czy też nacjonalistyczny. Myślę, że nie sposób zaprzeczyć, że taki nurt istnieje i że ma się całkiem dobrze. Tyle że nie uważam, by uprawniona była teza, że jego idee i wizja przeszłości znajduje się dzisiaj w centralnym miejscu niemieckiej kultury politycznej. Jest po prostu jedną z kilku tendencji, choć z pewnością bardziej widoczną niż jeszcze przed kilkunastoma laty.

Aby obraz niemieckich przemian w sferze pamięci zbiorowej był pełny, warto jeszcze zwrócić uwagę na dwa aspekty. Po pierwsze, niejako rewersem procesu odpolitycznienia pamięci jest jej prywatyzacja. To, co niegdyś zajmowało centralne miejsce w przestrzeni publicznej, dzisiaj coraz bardziej staje się domeną jednostek. Świadczy o tym choćby prawdziwy boom, jaki przeżywa zainteresowanie historiami rodzinnymi - półki w księgarniach uginają się od takich tytułów. Obraz przeszłości jest w nich subiektywny, zindywidualizowany, ich autorzy nie roztrząsają wielkich historycznych dylematów i pytań, lecz pokazują historię w skali mikro - własnych rodziców, wujków czy rodzeństwa. Podobny charakter ma w dużej mierze zainteresowanie historią wypędzeń i nalotów bombowych. Do tego dochodzi drugi aspekt, o którym chciałbym w tym miejscu powiedzieć - coś, co Daniel Levy i Natan Sznaider nazywają "kosmopolityczną pamięcią". Autorzy ci pisali w swojej głośnej pracy, że "pamięci kosmopolityczne oparte są zazwyczaj na uznaniu i pragnieniu zapobieżenia lub ograniczenia cierpień w przyszłości". W tym ujęciu, czy to w odniesieniu do Holocaustu, czy też do problemu wypędzenia, "niemiecka przeszłość staje się globalną lekcją". Taki zorientowany jednoznacznie ku przyszłości proces jest także silnie

związany z odpolitycznieniem pamięci. Na pierwszy plan wysuwa się kwestia praw człowieka i problem ofiar, zaś kontekst historyczny, kwestia winy i odpowiedzialności odgrywają mniejszą rolę. Napiętnowanie pogwałceń praw człowieka zgodnie ze współczesnymi standardami jest sednem takiej uniwersalizacji pamięci. Podobnie jak wcześniej Holocaust, tak obecnie wypędzenia postrzegane są w dyskursie kosmopolitycznym nie jako wydarzenia dotyczące konkretnego narodu czy społeczeństwa, lecz problemy ogólnoludzkie, które zbiorczo definiuje się jako "czystki etniczne". To w dużej mierze wyjaśnia, dlaczego w upamiętnianie wypędzeń angażują się ludzie lewicy, tacy jak Ralph Giordano czy Helga Hirsch. Ich zainteresowanie tym tematem nie ma wiele wspólnego z jakimś nacjonalistycznym zwrotem w ich biografii. Przeszłość nie jest przez nich traktowana jako rezerwuuar tradycji narodowych i poczucia wspólnotowego, lecz przeciwnie - jako źródło wartości uniwersalnych, które zachowują swoją wartość niezależnie od czasu, miejsca i kontekstu historyczno-społecznego.

W tej części mojego wystąpienia próbowałem pokazać, na czym polegają zmiany w niemieckim dyskursie o przeszłości i kulturze pamięci, definiując nie za pomocą pojęć takich jak relatywizacja i renacjonalizacja, lecz odpolitycznienie, prywatyzacja i pluralizacja

dyskursu. Teraz chciałbym krótko wyjaśnić, dlaczego uważam, że kierunek tych zmian pozostaje w sprzeczności z ewolucją publicznego użytkowania historii w Polsce i skąd biorą się dzisiejsze napięcia w dialogu polsko-niemieckim.

II.

Zacznijmy od tego, że proces polsko-niemieckiego pojednania, z którego kryzysem na poziomie elit mamy z pewnością dzisiaj do czynienia, nie był tylko mądrą strategią polityczną zjednoczonych Niemiec i demokratycznej Polski, lecz był nie do pomyślenia bez specyficznej konstelacji w kulturze politycznej obu krajów. Po stronie niemieckiej nieodzownym elementem było upolitycznienie przeszłości. Dość przypomnieć, że jeszcze w przeprowadzonych w 1998 roku badaniach aż 73,6% ankietowanych przedstawicieli niemieckich elit przyznało, że "Niemcy uczynili w przeszłości Polakom tyle zła, że powinni popierać starania Polski do członkostwa w NATO i UE jako znak pojednania". 46,2% badanych było nawet zdania, że Polskę należy w związku z tym przyjąć do tych struktur niezależnie od kosztów, jakie miałyby to spowodować. Mając na uwadze to, co mówiłem wcześniej o przemianach w kulturze pamięci, można uznać, że był to ostatni moment, kiedy taka motywacja grała jeszcze jakąś istotną rolę.

Ale to nie wszystko. Jednym z bardzo istotnych, a jak się wydaje, zupełnie nie docenianych źródeł wzajemnej frustracji między elitami Polski i Niemiec, jest zasadnicza różnica wyzwań, jakie dla kultury politycznej Polski

i Niemiec stanowiło zbliżenie i pojednanie polsko-niemieckie. Gotowość do rewizji antyniemieckich uprzedzeń była w Polsce niezbędnym warunkiem nowej orientacji w polityce zagranicznej wolnej Polski, polegającej na zbliżeniu z zachodnim sąsiadem, które miało położyć kres geopolitycznemu fatum wynikającemu

z położenia między dwoma wrogami - Niemcami i Rosją. Taką funkcję pełniła m.in. samokrytyczna i bolesna refleksja nad wypędzeniem Niemców. Zwrot ku Niemcom, jakiego dokonały demokratyczne elity III RP, musiał opierać się na społecznej legitymizacji, której nie sposób było osiągnąć bez radykalnej rewizji zastanych stereotypów i uprzedzeń.

Dekonstrukcja obrazu Niemca jako wroga była dla polskiej polityki zagranicznej wymogiem czasu. O tym, że było to możliwe, przesądził charakter ówczesnego dyskursu o przeszłości, który był bardzo samokrytyczny, liberalny, otwarty na zaakceptowanie punktu widzenia innych narodów. Historia postrzegana była przez ówczesne elity nie jako narzędzie w politycznym sporze, lecz sfera w której obowiązują argumenty etyczne. Patronami takiego "krytycznego patriotyzmu" byli Jan Józef Lipski, Jan Błoński, Adam Michnik. To dzięki temu nastawieniu, które miało, jak widać też istotną funkcję pragmatyczną, proces rewizji obrazu Niemiec poszedł w Polsce bardzo głęboko. Nie sposób mówić w ogóle o polskiej kulturze politycznej po 1989 nie uwzględniając tej zasadniczej przemiany.

Tymczasem adekwatny proces - tzn. przywrócenie Polski niemieckiej świadomości historycznej - nie miał miejsca. Zbliżeniu

z Polską po 1990 roku nie towarzyszyła

w Niemczech ani wielka dyskusja o polityce wschodniej, ani głębsza publiczna refleksja nad polsko-niemiecką przeszłością. Wszystko odbyło się dość po cichu i mało spektakularnie - zupełnie inaczej niż w Polsce. Można w tym widzieć przejaw tradycyjnego braku zainteresowania Polską w Niemczech, ale ja chciałbym zwrócić uwagę na inną przyczynę.

Taka rewizja w myśleniu o Polsce nie była, przynajmniej tak mogło się wówczas wydawać, z niemieckiej perspektywy w ogóle potrzebna. Po zjednoczeniu, Niemcy nie przeżyły rewolucji w polityce zagranicznej, której główne elementy pozostały nie zmienione. Wspomniana rola "advokata" Polski doskonale wpisywała się w istniejący już model polityki zagranicznej RFN jako mocarstwa cywilnego, czyli kraju-pośrednika (uczciwego maklera) dążącego do rozwoju integracji europejskiej, cywilizowania stosunków międzynarodowych i pokojowego współistnienia z sąsiadami. Wejście w tę rolę nie wymagało dodatkowej moralno-politycznej

legitymizacji, zupełnie inaczej niż miało to miejsce w Polsce, gdzie Niemiec jako przyjaciel i adwokat trudny był do zaakceptowania bez zasadniczej zmiany w głowach.

Dlaczego o tym mówię? Otóż myślę, że dzisiaj jak na dłoni widać skutki tego stanu rzeczy. W Polsce rozpowszechnione jest przekonanie, że nasz wysiłek włożony w pojednanie z Niemcami nie został w pełni odwzajemniony po drugiej stronie. I to rodzi frustrację oraz oczekiwanie, że Niemcy swoje zaległości w końcu odrobią. W Niemczech z kolei poparcie dla wejścia Polski do UE uważane jest za etap końcowy moralno-histerycznych rozrachunków i otwarcie nowego etapu, w którym każda strona ma nową, nie zapisaną kartę. Ostatnie lata przesyczone polsko-niemieckimi sporami były właśnie areną zderzenia tych przeciwstawnych oczekiwań i interpretacji. Ale nie doszłoby do nich, gdyby nie istotne zmiany jakie w tym czasie zaszły także w Polsce. Na czym one polegały i jaką rolę odegrała w niej problematyka niemiecka?

Związek między tymi dwoma zagadnieniami można przedstawić odwołując się do procesów, które symbolicznie określam mianem "efektu Jedwabnego" i "efektu Steinbach". Ten pierwszy dotyczy zasadniczego zwrotu, jaki nastąpił w polskiej dyskusji o przeszłości po tym, jak przez polskie media przetoczyła się debata o zbrodni w Jedwabnem. Wprawdzie krytyka amnezji historycznej w III RP, "krytycznego patriotyzmu", odwrócenia się od tradycji i promowanie jakoby jednostronnie negatywnego obrazu polskiej przeszłości narastała już pod koniec lat 90-ych. Ale dopiero po gwałtownej dyskusji o Jedwabnem konieczność sformułowania kontrnarracji w stosunku do antymartyrologicznego i samokrytycznego dyskursu o pamięci stała się dla dużej części elit moralnym nakazem. Postulat kształtowania wspólnoty narodowej w oparciu o pozytywne tradycje historyczne, nacisk położony na takie wartości jak naród, patriotyzm, solidarność, wspólnota, postrzeganie przeszłości i pamięci o niej w kategoriach "własności" narodu oraz postulat aktywnej roli państwa w kształtowaniu świadomości historycznej obywateli stały się najważniejszymi wyznacznikami tego procesu. Przekonanie

o "rewanżu pamięci" i toczącej się w związku z nim "bitwie o pamięć" w całej Europie wzmacniało tę linię argumentacji. Przynajmniej na poziomie elit intelektualnych i debaty medialnej mówić można o wyraźnym przesunięciu się punktu ciężkości właśnie w kierunku tak zdefiniowanych stanowisk.

Tak rozumianemu "efektowi Jedwabnego" niemal w tym samym czasie w sukurs przyszedł "efekt Steinbach". Oznacza on reakcję na bacznie obserwowane przez polską opinię publiczną toczące się w Niemczech debaty o wypędzeniu Niemców i innych niemieckich ofiarach II wojny światowej, a w szczególności na działalność szefowej Związku Wypędzonych. Dla dużej części polskich elit (głównie tej bliższej poglądom konserwatywnym) pesymistyczna ocena zmian zachodzących w sferze pamięci w Niemczech stała się dodatkowym silnym argumentem na rzecz tezy, że w polskiej świadomości historycznej potrzebne są zasadnicze zmiany. Jak pisał Tomasz Merta, zwolennik i jeden z inicjatorów "polityki historycznej", "konfrontacja

z bardzo radykalnym projektem niemieckiej polityki historycznej [Centrum przeciwko Wypędzonym], starającym się udowodnić, że "belki" tkwią zarówno w niemieckich, jak i naszych oczach, spowodowała zasadniczy zwrot w polskich nastrojach". Nie ulega jednak wątpliwości, że "efekt Steinbach" był tylko dodatkowym impulsem, który nie tyle przesądził o zmianie klimatu wokół pamięci i polityki historycznej w Polsce, ile wzmocnił istniejące niezależnie od niego tendencje. Takie jest tło dzisiejszych nieporozumień.

W warunkach odpolitycznienia pamięci

o Trzeciej Rzeszy w Niemczech - prezentowanie historycznych racji jako argumentu przetargowego w relacjach z Niemcami staje się coraz trudniejsze. Mówiąc wprost: mało kto chce takich argumentów słuchać. Czasami wiąże się to z ignorancją i brakiem elementarnej wiedzy historycznej, który jest

w Niemczech realnym problemem. Najczęściej jednak powodem jest przekonanie, że za sprawą swojej "nowej przeszłości" Niemcy stały się normalnym narodem, którego dawniejsza, niechlubna przeszłość jest wprawdzie niezbędnym elementem tożsamości, ale już nie wskazówką do politycznego działania. Tym samym Polska polityka historyczna, której adresatem są Niemcy jest spóźniona o 20-30 lat. Jest w tym pewien fatalizm nierównoczesności procesów zachodzących w Polsce i w Niemczech. W okresie, kiedy polskie argumenty mogłyby trafić w Niemczech na podatny grunt, tzn. w czasie kiedy historia była sprawą stricte polityczną, w latach 70- czy 80-ych, Polska była w niemieckich debatach nieobecna. Oczywiście, nie z własnej winy - przyczyna była zimna wojna i żelazna kurtyna. Dzisiaj, kiedy autorzy polskiej polityki historycznej chcieliby nadrobić te zaległości i apelować do niemieckiego poczucia winy, wpajać Niemcom polski punkt widzenia na przeszłość, domagać się uznania dla niego, oraz - co istotne - traktując to jako nieodłączną część polityki zagranicznej, spotykają się w Niemczech z rosnącym niezrozumieniem i irytacją.

Co więcej, procesy zachodzące w sferze pamięci w Niemczech interpretowane są przez pryzmat polskiego dyskursu. Innymi słowy, spojrzenie na Niemcy, prezentowane przez dominującą w dyskursie publicznym część elit, stało się w dużej mierze zakładnikiem tego nowego podejścia do spraw związanych z przeszłością w Polsce - nacisku na wartości wspólnotowe, kategorię narodu, politykę historyczną. W konsekwencji odtwarzany w polskich komentarzach krajobraz nowej niemieckiej pamięci stał się po części projekcją wyobrażeń i oczekiwań dotyczących własnego społeczeństwa. Konserwatywne elity w Polsce zdają się uważać (i to budzi ich największy niepokój), że w Niemczech dokonuje się proces podobny do tego, jaki od pewnego czasu same postulują w Polsce: silnego upolitycznienia historii, budowy spójnej wizji narodowych dziejów i kształtowania w oparciu o nią postaw patriotycznych. Odpolitycznienie historii w przestrzeni publicznej wielu komentatorów interpretuje jako amnezję historyczną, pluralizację dyskursu jako wpuszczanie rewizjonistów do mainstreamu i konstruowanie martyrologicznej wizji Niemców jako ofiar dwudziestowiecznej historii ("Niemcy jako naród ofiar"), a indywidualizację i kosmopolityzm w spojrzeniu na przeszłość jako relatywizację niemieckich win.

I jak zawsze, wszystko trochę się zgadza. Nie zgadzają się tylko proporcje i generalizujące wnioski.

W Niemczech z kolei przeważa opinia, że wszystko to jest świadectwem ulegania Polaków dzielnemu nacjonalizmowi i niczym nieuzasadnionej rewindykacji historycznej. Tak jak wielu polskich komentatorów do jednego worka wrzuca Ralpa Giordano i Erikę Steinbach nie rozumiejąc ich odmiennych motywacji w podejmowaniu sprawy niemieckich cierpień w czasie drugiej wojny światowej, tak wielu niemieckich komentatorów nie chce zauważyć, że oczekiwania pod adresem Niemiec w sprawach dotyczących przeszłości nie są formułowane tylko przez tępych nacjonalistów i osoby o antyniemieckich uprzedzeniach, lecz także środowiska liberalne i lewicowe. Posługiwanie się ryczałtowymi opiniami jest tu tak samo błędne. I oczywiście wywołuje odpowiednie reakcje po polskiej stronie. A błędne koło nieporozumień kręci się dalej.